

Rafał Marszałek

## Olimpiada w Tokio

Zaterkotał budzik . Nagle, bez powodu , za głośno. Poderwałem się na równe nogi, ale od razu rozbudzony i przepelniony energią. Zamiast ze złością zdusić przycisk dzwonka , pozwoliłem mu trąbić jeszcze przez dłuższą chwilę. Delektowałem się tymi zuchwałym , bezczelnymi dźwiękami ; dawałem się im wchłonąć. Jak tamtego ranka , prawie przed pół wiekiem, trąbka wzywała przecież do walki. Oto zaraz wyruszę do Piotrkowa Trybunalskiego czyli na podbój świata.

Jak zwykle trochę spóźniony ,wybiegłem na pociąg odjeżdżający z Warszawy Głównej około ósmej. Nie ma czegoś takiego jak odjazd pociągu „około”. Jest duża różnica między siódmą pięćdziesiąt dziewięć a ósmą zero jeden – wmawiał mi ojciec, poznaniak, więc z powagą traktujący zegarki i zegary. Urodzonemu w Warszawie nie bardzo chciało mi się w to wierzyć. Jakiś przyrząd do mierzenia miałby coś dyktować człowiekowi ? Bez przesady. Mimo niedzielnego rozkładu jazdy autobus o czasie pojawił się na Alejach Niepodległości i w porę dotarł do skrzyżowania Towarowej . Stamtąd dwieście metrów radosnym klusem do mety, bezpieczne czterdzieści sekund przed odjazdem pociągu. Opanowanie i kontrola nad materia.

Gdybym jeszcze tylko mógł sterować samym celem wyprawy. Było inaczej. Umyśliłem sobie, że powalczę o tytuł mistrza Polski juniorów w szachach na rok 1960. Sześciu – siedmiu najpoważniejszych rywali to w końcu nie problem. Gorzej, że mojego nazwiska zabrakło na oficjalnej liście startowej. Od sędziów zależało czy mnie jako rezerwowego dopuszczą do turnieju. Udział w turnieju był więc niewiadomą. Dziewiętnastolatek zawsze potrafi wskoczyć do odjeżdżającego pociągu. Znacznie trudniej mu czekać zmiłowania albo żebrać u obcych ludzi.

Nadzieja nie trwała dłużej niż czas podróży. Wpadłem do sali turniejowej z wypiekami na policzkach, z chciwością w oku. To oznaczało, że szanse rozkładały się jak czterdzieści dziewięć do pięćdziesięciu jeden. Starsi ludzie czasem zachwycają się młodością dla niej samej. Częściej jednak ona ich po prostu irytuje. To sprawa dydaktyki. Młody pcha się na siłę, a mógłby chwilę poczekać. Chciałby dostać wszystko na talerzu, a powinien najpierw się zmęczyć, spocic, przy trudnej wspinaczce zedrzyć do krwi pazury.

Przy stoliku sędziowskim krzątało się kilku ludzi. Najważniejszy z nich spojrzał na mnie bystro. Nim jeszcze wyłuszczyłem swoją prośbę, zrozumiał jak bardzo mi zależy na grze. A wała. - Doprawdy żałuję, ale nic z tego kolego. Rzeczywiście dysponujemy jeszcze jednym wolnym miejscem, ale pan jako rezerwowy wejść nie może, bo wtedy limit zawodników z Warszawy zostałby przekroczony. Więc może w przyszłym roku ...- powiedział sędzia ze słodyczą. Wiedział doskonale, że za rok będę już sędziwym seniorem. Zniechęciliśmy się z panem sędzią od pierwszego wejrzenia. Nie było co ponawiać prośby.

Powałęsałem się trochę po mieście. W ulicznym kiosku wychłptałem lemoniadę . Miała intrygujący kolor indygo, za to nieporównywalny z niczym, jałowy smak

swojej epoki. Wróciłem na salę tuż przed rozpoczęciem pierwszej rundy, żeby zobaczyć szczęśliwców, których dopuszczono do gry. Przez okno wdzierał się promień słońca. Najmocniej rozświetlał szachownice faworytów – dwóch chłopców z Wielkopolski, jakby wskazując, że to oni są wybrańcami bogów. Promień był ostry, więc zdradliwy. Włodek, trochę lepszy z tych dwóch, po latach dorobił się tytułu arcymistrza. Marek, cierpiał, że jest trochę gorszy. Codziennie podlewał miłość własną. Wzrastała ona bujniej od rachitycznego drzewka talentu. Szachista rozczarował się też do drzew logiki i matematyki: wcale nie były tak zielone, jak obiecywano. M. stopniowo odsuwał się od kolegów, uciekał przed światem, marniał w oczach. Nie dane było mu przeżyć na tym szachów padole dłużej niż kilkadziesiąt miesięcy. Sam zadał sobie śmierć; okoliczności nie były bliżej znane. W naszym świecie ludzie zazwyczaj ustawiają się na wiadukcie i z wysoka rzucają się pod koła pociągu. Gdy się nie uda, próbują jeszcze raz. Aż do skutku.

Nie miałem o tym pojęcia. Nigdy jeszcze dotąd nie dopadła mnie depresja szachowa. Zachodząca aż za horyzont ohydna, bura plama; niewidzialna, ciężka zasłona, której odgarnąć nie sposób. Zbyt krótko i zbyt radośnie grałem w szachy. I bardzo lubiłem dworce. To z ich peronów wyrzutnia kosmiczna wyrzucała mnie wraz z towarzyszami na pierwsze ligowe mecze: hen, w inną galaktykę, aż do Legnicy czy Cieszyna. To właśnie dworce, mimo że brudne i zaniedbane, dawały mi napęd. Obiecywały przygodę, zonglowały porami dnia i roku unosiły w inny, nierzeczywisty wymiar. A czasem, tak jak dzisiaj, pozwalały po prostu wyrwać się z kłopotów. Wróciłem na dworzec, żeby zrealizować rezerwowy plan podróży. Kupiłem bilet na Wybrzeże licząc na gościnność mistrza Mariana, posiadacza domku między Sopotem a Jelitkowem, który w lecie stawał się izbą noclegową dla szachistów.

Podróż czekała mnie długa i pokrętna, bo przez Poznań. Najlepiej oczywiście byłoby przez Warszawę, ale to by oznaczało, że się cofam, a przecież chciałem iść do przodu. W pociągu był tłok, dokuczała duchota. Nie mogłem zmrużyć oka, przed oczyma ciągle miałem uczynną twarz sędziego. W połowie drogi naparła na mnie całym ciałem zmorzona snem sąsiadka. Z ciemności wyłaniały się ładne rysy twarzy. Czulem głowę kobiety na ramieniu, przenikało mnie na wskroś jej ciepło. Nieznane uczucie, między napięciem, a zupełnym rozluźnieniem. Było błogo. Chwilo trwaj. Nad ranem odskoczyliśmy od siebie jak oparzeni. Ona zawstydzona, że się tak zapomniała; ja speszony, że przytulałem się do leciwej, trzydziestoletniej już chyba, niewiasty.

Wysiadłem w Sopocie, znajomymi, bocznymi uliczkami dotarłem do morza. Wczesnym rankiem plaża była zupełnie pusta. Maszerowałem brzegiem, bez trudu umykając leniwym falom. Na wydmach, jak na bocianim gnieździe, usadowiła się para ubogich kochanków. On w dziurawych, płóciennych portkach, ona w lichej sukieneczynie. Drżeli z zimna, ale twarze im jaśniały, bo byli bardzo bogaci. Już pod Jelitkowem, na wysokości ostatniego falochronu, wyszedł mi na spotkanie beznamiętny pies. Ogarnął mnie mądrym i czułym spojrzeniem kundla. Interesowała go zawartość mojej torby, a jeszcze bardziej stan duszy. Proponował koleżeństwo, a najlepiej od razu założenie rodziny. W torbie, zamiast mięsa, niosłem książki i szachowe kajety kujona. Serce zaś na głucho zabite gwoździemi: jeszcze tego brakowało, żebyśmy się w takiej kompanii zameldowali u mistrza Mariana. Wymówiłem się nie zjedzoną, wczorajszą kanapką. Czworonóg mimo głodu, zachował poczucie godności. Potraktowałem go jak żebraka, a nie jak osobę emanującą wyższymi uczuciami. -Ach, wstyd mi za ciebie,

człowieku małostkowy- powiedział pan pies i oddalił się z podniesionym ogonem ( wróci po jedzenie, dopiero gdy zniknę mu z oczu).

Dom stał w szczupłym zagajniku, kilkaset metrów pod plaży. Choć miał swoje lata, nie był jeszcze całkiem otynkowany. Na piętro wiodła drabina zamiast schodów. Ta drabina, widoczna z daleka, była firmowym znakiem przytułku dla szachistów. Zniknęłaby tylko wtedy, gdyby gospodarz zbudował i wynajmował pokoje. Mistrz Marian uważał jednak, że zakładając pensjonat stałby się jakimś innym, obcym człowiekiem. W każdym razie nie zasługiwałby na miano gospodarza. Po staropolsku otwierał więc na oścież drzwi strychu ; współbracia walili doń nie tylko drzwiami, ale i oknami. Mało kto z nich dziękował Marianowi za gościnę. Jak taki z natury dobry, to mu się nie należy.

Wdrapywałem się już po ostatnich szczeblach drabiny, gdy zza półotwartych drzwi dobiegł mnie jęk - może spazm erotyczny, może czyjeś przedśmiertne błaganie. Szybko, ale po cichu otwarłem drzwi i zamarłem. Straszny, zaskakujący widok. Mistrz Marian leżał na ziemi. Nad nim pochylał się jakiś bandyta. Najwidoczniej wypytywał o pieniądze, których w tym domu nigdy nie było. Rysopis napastnika : średniego wzrostu, szczupły, ale doskonale umięśniony, włosy na jeża, czarne brwi, wąskie źrenice, mołojECKI wąsik. Rzuciłem się gospodarzowi z pomocą. Chyba nie było to wejście smoka, skoro napastnik odwrócił się w moją stronę z grzecznymi słowami – Grycz jestem. Bardzo mi przyjemnie. Zapraszamy do ćwiczeń- Zupelnie tak, jakby właśnie na mnie czekał. Zerknąłem na mistrza Mariana. Przytłoczony trzydziestokilogramową sztangą posłał mi umęczone spojrzenie na znak, że sam należy do zapraszanych, a nie zapraszających. Odskokczyłem na bezpieczną odległość wymawiając się , że jeśli w ogóle dołączę, to dopiero po śniadaniu. Dałem susa w ciemności strychu licząc, że dziwna zjawia zwana Gryczem zniknie z naszego życia tak nagle, jak się w nim pojawiła. Niedoczekanie. Brunet wyciągnął mnie zaraz na światło dnia, wciskając do rąk czasopismo kulturystyczne. Stamtąd, z własnej, nieprzymuszonej woli, miałem sobie wybrać rodzaj tortury ze sztangą.- Już teraz, tak od razu ?- usiłowałem negocjować. – A na co jeszcze czekać ? – zdziwił się instruktor – samozwaniec. Miałem chudą pierś, ramiona jak zapalki, awersję do gimnastyki. Udało mi się znaleźć tak zwany system Sandowa, najbardziej liberalny z polecanych. Pięciokilogramowe odważniki obiecywały przetrwanie. To było z gruntu coś innego niż wielka sztanga ,uwięziony pod którą mistrz Marian walczył o życie.

Już wkrótce okazało się, że nie jesteśmy z gospodarzem jedynymi ofiarami napastnika. Z różnych kątów strychu na powierzchnię wydobywali się bracia szachiści . Było ich przynajmniej z pół tuzina. Kombatanci długiego, nocnego grania , orędownicy zdrowego snu do południa. Tym razem dźwignęli się wcześniej, zbudzeni hałasem. Rzecz niepojęta : mimo, że współprzytomni, rozmamłani, chwiejący się na nogach, prawie wszyscy oni dzierżyli w rękach jakieś odważniki ; jeden pochylił się nawet przez chwilę nad opuszczoną przez Mariana sztangą. Gdyby nie znajome twarze : znakomitego mistrza S. konkurującego o prymat krajowy z samym, wielkim inżynierem Śliwą , pana Ludwika ,oryginała słynnego w Krakowie i okolicach, wielokrotnego wicemistrza Lublina , tudzież pana Jutka , prywatnego przedsiębiorcy , wiernego kibica pałającego nieodwzajemnioną namiętnością do szachów – gdyby nie te znane oblicza, przysiągłbym, że zabłądziłem wśród obcych. Poruszali się oni wszyscy jak w jakimś przedziwnym transie, niepodobni do siebie, właściwie nieobecni.

Coś złowrogiego musiało się zdarzyć przed moim przyjazdem. Nie chciało się wierzyć, żeby jeden człowiek mógł w tej gromadzie wprowadzić podobny reżim. A jednak ,gdy po godzinie ów Grycz wyruszył na miasto, życie na strychu wróciło w swoje koleiny. Jak za dotknięciem szachowej różdżki z mieszkańców zeszło szaleństwo. Odważniki i sztanga poszły w ką, wróciła normalność. Szachiści , naprędce pokrzepiwszy się kawą , z apetytem zasiedli do roboty. Ulubione klocki rozstawili na tekturowych i ceratowych planszach , a obok egzotyczne skrzynki odmierzające czas do namysłu. Różni pięciominutowe blitze, raz po raz osłabiając morale przeciwnika dobrodusznymi docinkami. W niedoczasie, gdy na zegarze pozostawało ostatnie kilkanaście sekund, dłonie i figury fruwały w powietrzu z nieprawdopodobną szybkością. Kto odczuwał pierwszy głód, ten około drugiej odrywał się od szachownicy, żeby spożyć śniadanie. Wracał pokrzepiony, żeby miotać klockami aż do wieczornego obiadu. Jakie szczęście, że kulturowa nawałnica minęła. Upewniłem się, że jestem znowu u siebie ; że nie utraciłem kolegów na zawsze .

Nie mogłem się powstrzymać od pytania o postać intruza. Mistrz Marian przybliżył mi okoliczności ostatniego zajazdu na Jelitkovo. Grycz jest bokserem. Gdzieś podczas lokalnych zawodów na Dolnym Śląsku wypatrzyli go działacze wrocławskiego „Pafawagu”, klubu bokserskiego z tradycjami. Dlaczego już po kilku miesiącach bokser przeniósł się na drugi koniec Polski, dokładnie nie wiadomo. Podobno jakiś macher obiecał mu złote góry i pewne miejsce w składzie pierwszoligowej „Gedanii”. Na miejscu okazało się, że to była anegdota z radia Jerewań. Na Grycza nie czekały żadne pieniądze, nie miał nawet dachu nad głową. To dlatego mistrz Marian nad nim się zlitował. Niedługo ma się wszystko rozstrzygnąć, podczas pierwszego ligowego meczu „Gedanii” z „Legią”, gdy kolega Grycz zawalczy z jednym ze słynnych braci Dampców. Jak przejdzie tę próbę, może dostać etat w klubie. Jak mu się nie powiedzie, to żegnaj. Więc bokser zawzięcie trenuje ,a przy okazji i nas do tych ćwiczeń namawia.

- Raczej terroryzuje. I nikt mu się dotąd nie przeciwstawił ? – zaprotestowałem. Widziałeś przecież jak, to jest – odpowiedział mistrz Marian , delikatnie przypominając , że i ja nie jestem Spartakusem. – Strasznie ambitny i uparty to człowiek. Jak sobie coś ubzdura, to nikt go nie zatrzyma.

W głosie gospodarza niedowierzanie mieszało się z podziwem. Sam mistrz Marian przed siedmioma laty ,debiutując w mistrzostwach Polski przebojem ,wszedł do czołówki. Oczekiwano, że powtórzy ten sukces. Ale w następnym roku coś innego, ważnego zatrzymało go przed turniejem. Może więc w kolejnych mistrzostwach ? Jeszcze nie, bo wtedy akurat coś mu pechowo przeszkodziło. Teraz jednak , mistrz Marian powiedział sobie, że dość tego. Nie odpuści. Pokaże tym, co go tak łatwo odpisali na straty . Tylko najpierw najpilniejsze, bieżące sprawy pozałatwia, żeby mieć całkiem spokojną ,odpowiednią do grania, głowę . Powróci do wielkich szachów już w przyszłym roku . Na mur ,beton .W każdym razie najdalej za dwa lata. Na sto procent.

Grycz na szczęście prowadził nieregularny tryb życia. Wychodził do klubu o różnych porach, bo zamiast sparing - partnera czekała tam na niego tylko sfatygowana, skórzana gruszka. Nie zawsze więc utrzymywał kontrolę nad swoimi podopiecznymi na strychu. Gdy tylko można było, wstawałem późno. Dopiero przed jedenastą docierałem na plażę. Towarzyszyły mi kieszonkowe szachy i ostatni numer „Szachmatnego biuletynu”. Trzymałem się niepisanych ,a

jakże rozsądnych nauk węgierskiego arcymistrza Portischa : solidna praca nad szachami w domu, potem turniejowe sprawdziany, oby ich było jak najwięcej, a jeśli się wolna chwila zdarzy, to dla odprężenia trochę szachów. Co kilkanaście minut wchodziłem do wody, potem spacer brzegiem plaży. Trochę dokuczało mi osamotnienie. Zbliżałem nieśmiało do ludzi grających w siatkówkę. Stałem w pobliżu tak długo, aż zapraszali mnie do swego grona. Potem znowu „Szachmatnyj biuletyn”, znowu woda, ale jak długo można. Ruszałem w stronę miasta, pod pretekstem, że zbliża się pora obiadowa. Częściej niż do baru, wchodziłem jednak do zatłoczonej kawiarni. Właśnie ten tłok i gwar działały jak magnes ( jest nas naprawdę dużo, powiada do siebie samotnik ). O wolne miejsca było trudno, więc przysiadłem się do siedzącej samotnie dziewczyny. Nie była tym zachwycona, ale nie umiała mi odmówić. Miała cudownie subtelne rysy, długie palce, jakie zdarzają się tylko u muzyków. Szedł od niej jakiś nieuchwytny smutek. Może daremnie czekała na swojego chłopaka, może niedawno straciła kogoś bliskiego, nie wiadomo. Nie śmiałem o cokolwiek pytać, mimo że odtąd już ponawiałem to dziwne spotkanie. Wydawało mi się, że się dobrze bez słów rozumiemy. Chwilo trwaj. To się skończyło, gdy któregoś razu dosiadł się do nas bez pytania jakiś podchmielony mężczyzna. Nie patrząc na dziewczynę wyrzucał z siebie półgłosem nędzne, ordynarne słowa. Cedził je i smakował tak długo, aż ona wreszcie wstała i wyszła bez słowa. On za nią, ale bez żadnego pośpiechu. Odchodząc, zerknął na mnie, przejętego, wzburzonego. Cofnął się, żeby prawiczkowi wytłumaczyć, że na nic lepszego nie zasługuje ta dzidra, co za rogiem sprzedaje ciało swe.

Bokser poddawał się surowej diecie. Nie więcej niż ćwiartka chleba dziennie, do tego minimalna ilość masła. Dżem częściej niż serek topiony, a serek częściej niż wędlina. Raz na tydzień jajecznicę, lecz wcale nie ta podstawowa jajecznicę Bednarskiego z dwunastu jaj, tylko znacznie skromniejsza, uzupełniająca braki nabiału. Dżem był prawie zawsze na podorędziu, ale chleba nie raz brakowało. Bokser pożyczał wtedy pieczywo na wieczne zapomnienie. Według oficjalnej wersji budulcem masy mięśniowej kolegi Grycza były obiady w klubowej stołówce. Mistrz Marian utrzymywał jednak, że w „Gedanii” nigdy stołówki nie było. Próbował od czasu do czasu podrzucić bokserowi jakieś jedzenie, ale trzeba było tu działać ostrożnie, tak by go nie urazić. Sprawa była delikatna. Szachiści, fizycznie upośledzeni w stosunku do Grycza i bezwiednie poniżani przez niego przy męskich sprawdzianach, wynagradzali to sobie poczuciem społecznej wyższości. Jako zawodowi szachiści z dawien dawna zakotwiczyli się na etatach. Piękny Es, wytrwały skądinąd agnostyk, był ozdobą klubu hojnie finansowanego przez katolickie stowarzyszenie społeczne. Pan Ludwik wiosną i latem trenował głuchoniemych, jesienią pracował jako opiekun kadry niewidomych i co dwa lata wyjeżdżał z nimi na mistrzostwa świata. Wicemistrz Lublina, raz na miesiąc stawiał się w kasie największego miejskiego przedsiębiorstwa, by odebrać pobory starszego specjalisty w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy. W porównaniu z szachistami ,świadczącymi tak różnorodne i pożyteczne usługi dla ludności, bokser, mimo skromnych jedzeniowych potrzeb, wydawał się darmozjadem. Nikt mu jednak tego głośno nie wypominał, wiadomo, że życie różnie się układa.

Na prośbę pana Jutka kolega Grycz dał nam wykład strategii bokserskiej. Jej podstawa to oczywiście zasada legendarnego trenera ,papy Sztama : najpierw głowa, potem nogi, a dopiero na ostatku ręce. Dwa krótkie z prawej i kończący z lewej. Albo lewy dyszel, poprawka i kopyto z prawej. Dobre są też trzy pojedyncze packi z szybkiego doskoku ( bokser chciał je zademonstrować na osobie pana Jutka, ale ów, jako jedyny żywiciel rodziny, w panice

odskoczył), potem kontra, gdy klient, jak podrażniony byk, spróbuje ruszyć do przodu. Zapamiętajmy : żadnego szaleństwa i chaosu. To wszystko musi być w głowie poukładane.

I akuratnie przełożone na ruch nóg, żeby ręce w końcu mogły działać swoje. Sęk jednak w tym , że o naukach papy Sztama wszyscy w Polsce słyszeli. Więc koniecznie trzeba je czymś własnym wzbogacić. – Mam swój sekret – powiedział kolega Grycz, trochę ścisząc głos i mimowolnie rozglądając się na boki. – Ja nie tylko układam sobie walkę w głowie , ale patrzę klientowi w oczy. Od początku do końca . – Ale co takie patrenie niby daje ? – zadziwił się wicemistrz Lublina . – No, jak to co? To mi daje absolutną pewność, co tamten chce zrobić

i jak się będzie poruszać. Oczy mówią wszystko. On coś chce zakombinować, a ja go zawsze o ułamek sekundy wyprzedzam. Nic się przede mną nie ukryje. Ja tych różnych frajerów po prostu na wylot prześwietlam. Wielu już padło, nie wiedząc nawet, jak i kiedy. Do tej pory tylko trzech mi spod rentgena uciekło – wyjaśniał szachiście kolega Grycz ,jak dziecku. Oczy jeszcze bardziej mu się zwięzły i jarzyły dziwnym blaskiem. Wicemistrz Lublina poruszył się nerwowo, jakby to on właśnie, obnażony i bezbronny , z prześwietlonym do dna mózgiem ,stał na ringu naprzeciw Grycza. Zdaje się, że i nam udzielił się jego niepokój.

- Demon z Jeleniej Góry – ironizował następnego wieczoru mistrz Marian, z ostrożności upewniwszy się wprzód, że jego kat nie wrócił jeszcze z miasta. Ale nikt mu nie wtórował. Idee boksera trafiły widać na podatny grunt. Demoniczne spojrzenie jako śmiercionośna broń zasłynęło w tych latach i w naszym środowisku. Genialny Misza Tal ,nowokreowany mistrz świata, właśnie w ten sposób dosłownie zahipnotyzował Pala Benkő ; tamten na próżno usiłował kryć się za ciemnymi okularami. Piękny Es był naocznym świadkiem jak podczas turnieju w Rydze od bazyliżkowego spojrzenia Tala kolejne ofiary padały jak muchy. Więc coś z tego musi być na rzeczy. Pytanie tylko czy jako oręż dostępny każdemu czy jako niezwykle dar dany od boga wojny ? Z opowieści boksera wynikałoby to drugie. Piękny Es, mężczyzna o zniewalającym uroku i magnetycznym spojrzeniu, wyznał w przystępie szczerości, że już tej sztuki próbował w partii z wrocławianinem Serusiem, ale bezskutecznie. Tamten, zupełnie nie podatny na magnetyzm oka, jak gdyby nigdy nic przez pięć godzin prostacko przyklepywał sobie przedziałek we włosach. Es, zmieszany własnym zachowaniem, rychło zgubił wenę i gra zakończyła się remisem. Więc nie zawsze to działa , muszą być to chyba tajemnicze, podskórne fluidy. Kto wie, może właśnie bokser Grycz, charyzmatyczny człowiek znikąd, ze swoją dziką tatarsko- cygańską urodą, z kosym spojrzeniem, w którym wyczuwało się raz chytrłość, a raz okrucieństwo – może to on był nosicielem takiej magicznej siły. Bądź co bądź daleko zaszedł, aż do pierwszej ligi.

Sprawa finansów . Zapominając na chwilę o topniejących zapasach kolegi Grycza :jak się samemu utrzymać na powierzchni ? Pieniądze od rodziców na pierwszy tydzień i trochę oszczędności z korepetycji , to za mało na długie wakacje. W tajemnicy przed mieszkańcami strychu – gra na pieniądze, podobnie jak u zawodników brydża sportowego, była u nich w złym tonie - podkradłem się pod zadrzewione obrzeża „Grand Hotelu”. Na zakurzonych, ogrodowych stołach miejscowi i przyjezdni fuszery grali tu w szachy na małe stawki. Nienajlepsi gracze, ale najwierniejsi z wiernych. Zaczynali wczesnym popołudniem, kończyli głęboką nocą, gdy lampiony w liściach drżą. Gubili miarę czasu ,ale półprzytomni ze zmęczenia wojowali aż do końca ze złym losem ( prawdziwy szachista bezustannie przygrywa, o wygranych nie pamięta, bo mu się przecież należą) . Ludzie najróżniejsi. Cisi księżowi i niebieskie ptaki. Wieczni studenci i urzędnicy zarażeni sekretną szachową chorobą. Niesłowni taksówkarze i niesolidni krawcy, ci od napisu na drzwiach „zaraz wracam” . Wiarołomni mężowie ( e2-e4, e7-e5)

i ojcowie marnotrawni, co to wyskoczyli po cukier do sklepu i już za dnia nie powracają ( o Jezuu, czasem sobie myślę, że już lepiej żeby mi się jakiś zwyczajny pijus trafił niż taki pokręcony idiota). Na widok tego zbiorowiska, ogarniały mnie sprzeczne uczucia . Czułem mocną więź ze swymi braćmi, ale przecież wkradłem się między nich podstępnie, po to by wszystkich wypatroszyć. Sentymentalny kanibalizm.

Cnotą polowania jest cierpliwość i bezszelestność ruchów. W warszawskiej kawiarni na Emdeemie podpatrzyłem, że kto jest głośny, ten niczego nie złowi. Żądny zysku amator rzuca się jak ryczący lew na swoją ofiarę wygrywając w ciągu kwadransa kopę partii. Ale i na tym kończy, natychmiast rozpoznany jako drapieżnik. Niewiele osiąga także ktoś, kto zbyt czytelnie maskuje swą siłę. Przegrać dla niepoznaki pierwszą partię i wygrać następnych dziewięć, oznacza, że jedenastej już z tobą nikt grać nie chce. Żeby zakorzenić się we wspólnocie fuszaków trzeba przejąć ich sposób myślenia, słownictwo, przyzwyczajenia. Potrzebny jest strój czerwonej kapturki, flegmatyczne ruchy, roztargnione spojrzenie. Trzeba posiedzieć przy grających, pokibicować im, pogadać. Nigdy przy tym nie zdradzać się ze znajomością szachowej notacji i nazw debiutów. Jak się jest młodym, najlepiej spłenić jak dziecko. O tutaj ,na tym czarnym polu z brzegu, warto było postawić oficera. Jaka szkoda, że podstawił pan pod bicie królowkę . Oj teraz, to chyba grożą widelki ( najmocniej przepraszam, wyrwało mi się tylko, już będę siedział cicho).Wyścig pionków się zaczyna, ciekawe, kto dojdzie pierwszy. A jak tamten pan dał panu szach szechu, to nie można się było zasłonić ? Ja bym na pewno tak zrobił na pana miejscu.

Naiwna ta gadanina początkowo nikogo nie ziębi ani nie grzeje – głuptasów u nas dostatek. Zwraca uwagę dopiero wtedy, gdy pojawiają się w niej pierwsze bezczelne tony. Kibic traci miarę, zapomina o swoim miejscu w szyku, zaczyna się mądrzyć. Może warto byłoby go wreszcie spacyfikować ? Więc gracz, który stale wygrywa gotów ci zaproponować partyjkę, oczywiście tylko jedną, bo czasu szkoda. Z drugiej strony głupawe komentarze rozwścieczają tego, co przegrywa. - Z boku to każdy potrafi. Skoro taki mądry, to niech sam siądzie i pokaże. Tylko zaraz, zaraz, wolnego : czy pieniądze posiada, bo my tutaj gramy nie niżej jak po piątce.

Dostawszy się do kurnika lisek porusza się najciszej jak potrafi. Pierwszą partię wygrywa dopiero po trudnym ,dramatycznym boju. W drugiej, najwidoczniej osłabiony ciężkimi przeżyciami, proponuje remis. Następną znowu wygrywa, nie ukrywając radości ze szczęśliwego przypadku. Teraz jednak przegrywa dwie albo trzy po kolei. No, to było do przewidzenia .Wiadomo, jak to młody : zapala się, a potem nagle dętka .Widać, że idzie równa walka. Dopiero potem idzie mu lepiej, w sumie odchodzi od stolika z niewielkim zyskiem. Następnego dnia o nic nie musi się już starać. Już na niego kurki czekają : bojowe, nastroszone jak koguty. Ja trafiłem najlepiej jak mogłem. Dwóch ludzi upatrzyło mnie sobie jako stałego partnera : tubylec, mistrz fryzjerskiego fachu i pewien przyjezdny, niezawodnie gwiazdor swojego powiatu. Dobrze nam było ze sobą. Oni, zwłaszcza w pierwszym tygodniu, dybali na mnie z ambicją poskromienia. Ja, zamiast na szachownicę, z upodobaniem spoglądałem na ich imponujące poroża. To już nie domowe kurki były, lecz wspaniałe, najprawdziwsze jelenie.

Mistrz powiatu, odważny i zapalczywy jak Kmicic, wziął też od niego technikę walki. By uniknąć jego topornych, sygnalizowanych ciosów nie trzeba było Wołodjowskiego.

Na wylot przesyty spada , na sekundę przed zgonem – a umierał regularnie co dziesięć minut- szlachcic nasz purpurowiał wykrzykując :„Nie może to być !! Jak strasznie się pomyliłem !” - a mylił się łatwiej niż umierał. Fryzjer ,choć plebejusz, miał większy od tamtego zmysł estetyczny. Dość szybko zorientował się, że wiodę go w jakieś wysokie, niedostępne rejony. Stopniowo doceniał we mnie przewodnika. W dniu, w którym mu uświadomiłem, że raniący go raz po raz kolec róży nosi nazwę mata Beniowskiego, jego przeżycia się pogłębiły. Także on, szczerzy Polak, nigdy nie wyczuwał zbliżającej się zagłady. Finałowy cios łaski spadał na niego jak piorun z nieba i pozostawiał w stanie przedziwnej kontemplacji. Wsokie, myślące czoło fryzjera pokrywało się bruzdami, oczy rozszerzały się jak po atropinie. Podnosił się, stawał jak wryty, spoglądał z góry na szachownicę w uniesieniu. Zdawało się , że roztacza się przed nim złowroga tajemnica wszechświata. Gdy dochodziliśmy do połowy szczytu Annapurny, popychałem go lekko ku przepaści. Przyzwoity to był jegomość : już lecąc w dół machinalnie sięgał do kieszeni i wypłacał zdradzieckiemu przewodnikowi jego dolę.

Wydało się, że i kolega Grycz prowadzi podwójne życie. W przerwie między sztangą a skakanką, od dłuższego już czasu dopadał kolejno każdego z nas po kolei, prosząc o partyjkę szachów, tylko jedną krótką, tak dla nauki. Prośbie spokojnego nagle ciemieży trudno było odmówić. Nawet Pięknemu Esowi raz zdarzyło się zlitować nad bokserem ; mnie zaś znacznie częściej. Grycz miał niewielkie pojęcie o królewskiej grze, ale oczywiście nadrabiał uporem i ambicją. Przegrywał jedną za drugą dziesiątki partii, ale klęski go nie zrażały. Przeciwnie : następnego dnia solidniej stawiał figury, mocniej się zapierał. A przy tym zupełnie nieoczekiwanie ujawniał naturę estety. Urzeczony nieznanymi motywami odciągnięcia, związania ,młynka i rentgena, odkrywał w nich piękno. Coraz częściej i na jego obliczu pojawiał się ów religijny zachwyt, bardzo podobny do reakcji fryzjera zabłąkanego w Himalajach. Po skończonych zawodach przyglądał mi się ze szczerym podziwem –

- Ciągle przegrywam z panem, ale mam jakąś wielką frajdę. Tak jakby odsłaniał pan przede mną zupełnie nowe możliwości. A nie każdemu jest to dane. Grałem z mistrzem S., o którym mówicie, że jest niby jednym z najlepszych w kraju. Szczerze mówiąc, gra przeszła bez żadnego wrażenia. Przez nieuwagę podstawiam mu figury, on to wszystko łyka i od razu jedzie do końcówki. Rutyna i chciwość, nic więcej. Co innego pan ,kolego. Brylantowy talent. A ile wyobraźni ! No i tyle wiedzy, w tak młodym wieku ...

- Uśmiechałem się skromnie. Rozsądek podpowiadał, że zachwyty kolegi Grycza mogą być przesadne. Z drugiej strony, to samo mówił mi fryzjer. Skoro dwóch mówi to samo – a mówią prawdziwie – to może drogę na szachowy Olimp pokonam szybko i bez zadyszki.

Któregoś dnia, wczesnym popołudniem, na plaży pojawił się słynny jazzband Zbyszka Namysłowskiego. Muzycy jakby wyszli prosto z westernu o siedmiu wspaniałych. Szli przez piasek, niespiesznie, posuwistym marynarskim krokiem, z nogami luźno ugiętymi w kolanach, z instrumentami ,jak strzelby, lekko uniesionymi w górę. Byli dobrze świadomi swej potęgi, wrażenia, które robią na plażowiczach. Na widok jazzbandu moi rówieśnicy podnosili się z koców, uśmiechali się porozumiewawczo i odczekawszy chwilę ruszali śladem muzyków w stronę Sopotu. Dziewczyny z rocznika 39 trzymały fason : nieruchome, obojętne, zajęte błahą rozmową. To nie była ich godzina. Dopiero wieczorem wypełzną z namiotów,



z wynajmowanych na poddaszu pokoiików, gdzie jedna mieszka, a trzy waletują . Zbiorą się wokół proscenium przy molo, a wtedy ludzie Namysłowskiego będą je wabić i niewolić kawałkami Cole'a, Younga, Komedy.

Sam nie musiałem udawać obojętności. Złożyłem szybko rzeczy i dołączyłem do pochodu podążającego za jazzmanami. Towarzyszyła im młoda kobieta, niewysoka i korpulentna, z twarzą ukrytą za ciemnymi okularami. Przyszło mi do głowy, że to mogłaby być Billie Holiday. Zaśpiewałyby „I gotta right to sing the blues” albo „Good morning heartache”, a już na sam koniec, dochodząc pod molo – „I cried for you”. Objęłyby Zbyszka, („I must have this man”), a on ,cały w skowronkach, błysnąłby jakąś nową improwizacją. Przyjemnie pomarzyć. Legendarna Billie ,nic o naszych tęsknotach nie wiedząc, tkwiła gdzieś za oceanem, pod nieznanym nikomu adresem; przebąkiwano nawet, że całkiem niedawno, w kwiecie wieku zmarła. Żal. Nasz pochód wolności zaczynał się i kończył na wąskim pasku jelitkowskiej plaży. Nawet Morze Bałtyckie wydawało się oceanem. Zbyszek grał tak pięknie, że potrafiłby nas przeprowadzić po dnie Bałtyku aż do brzegów Szwecji. Jeśli się za to nie brał, to dlatego, że w Piśmie pisanym przed wiekami zabrakło wzmianki o nadwodnych rafach - kutrach straży granicznej, wylawiających uciekinierów.

Pod koniec tygodnia przygrzało. Za długo siedziałem na plaży i ledwie dowlokłem się do domu. Nie myjąc się i nie rozbierając zwałem się na legowisko. Zza cienkiego przepierzenia dochodził stuk figur. To Piękny Es, w przystępie łaskawości, znowu wziął się za edukowanie boksera. Spalony słońcem przewracałem się z boku na bok. Zdawało się, że kołysze mnie dudnienie kół pociągu. Za oknem rozległo się gdakanie rozdrażnionej kury, znacznie bliżej płacz niemowlęcia. Od obojga, ptaka i dziecka, szedł sygnał, że w tej opanowanej przez szachistów okolicy, są jedynymi przedstawicielami swojego gatunku. Stuk figur nagle ustał.

- To coś niezwykłego, niesamowitego po prostu – baryton kolegi Grycza aż wibrował
- z podziwu- Jest dla mnie zaszczytem mistrzu, że pozwolił mi pan jeszcze raz zmierzyć się ze sobą. Zapamiętam na zawsze tę filigranową technikę, tę elegancję stylu. Bo na co dzień gorzej to wygląda. Namawia mnie czasem na granie ten M., juniorek z Warszawy. Oczywiście on też jest dla mnie za mocny. Ale teraz zrozumiałem różnicę poziomów między wami. Gdzie tam jemu do pana. Młody zabierze mi w debiucie pionka, potem ukradnie jakąś figurę i wielkie halo. Nuda straszna i wyrobnictwo. Ale pan, mistrzu...

Gdyby nie senność, pewnie wstałbym, żeby zdemaskować podstępny wojenne Grycza. Jedno było pewne : że bokser patrzy Pięknemu Esowi prosto w oczy .

Sytuacja w obozie pracy : Grycz ,zlany potem, odrabia tysięczną skakankę. Ja nieopodal młóć pięciokilogramowymi odważnikami. Z wzrastającą niechęcią myślę o wynalazcy Sandowie, który zepsuł mi wakacje. Mistrz Marian jęczy pod sztangą. – Oj, nic z tego nie będzie Marian. Zdrowie tylko sobie popsujesz – ubolewa nad losem przyjaciela pan Jutek sugerując, że Marian powinien zostawić to dźwiganie i rozegrać z panem Jutkiem kilka partyjek. Mistrz jakby tego nie słyszał. Sugeruje tym samym, że chciałby uniknąć znacznie gorszych tortur niż ćwiczenia ze sztangą. Pozostali dzisiaj nie ćwiczą, ale się usprawiedliwili. Pan Ludwik ,zwolniony z zajęć jako senior, zapisuje sekretnymi hieroglifami swój sławny stukartkowy zeszyt w linię. Piękny Es jako wybitny szachista dostał zezwolenie na trening w cyklu indywidualnym, więc siedzi nad szachami. Wicemistrz Lublina oddaje się lekturze

w ramach rytuału, który w Związku Radzieckim nazwano kulturalnym dniem. Dochodzi do tego jeszcze jeden akcent rosyjski : czytelnik trzyma na kolanach „Zmartwychstanie” Lwa Tołstoja.

Swoją drogą, szczególnie to widok. Lublinianin trwał w tej samej pozie od dobrych kilku dni. Tygodniowa zaduma nad książką , którą Lew Nikołajewicz rodził w bólach przez dziesięć lat , to niby i tak niedużo. Jednak trudno sobie wyobrazić, żeby wicemistrz Lublina tak bardzo przejmował się losami Katii Masłowej ; żeby przez cały tydzień pulsował w nim i rozkwitał akurat instynkt moralny. Szachiści, na ogół niesprawiedliwie pomawiani przez otoczenie o aspiracje intelektualne, z reguły nie czytają literatury pięknej. Za to są specami od cyrylicy. Tak i tutaj. Magnesem dla czytelnika nie było tołstojowskie arcydzieło, lecz jego zakładka : wyrwany z pozółkłego już „Sowieckiego sportu” zapis partii granej kontrgambitem Falkbeera. Pewien kolchoźnik spod Tomska znalazł w tym debiucie fantastyczne wzmocnienie. Wicemistrz Lublina w tajemnicy przed nami przyswajał sobie tę ideę i naśladzał się nią. Rozkosznie przeciągał się na leżaku, od czasu do czasu otwierał półprzymknięte powieki, smakowicie oblizywał wargi. Kocurowi robiło się błogo na myśl, ile myszek ze Świdnika, Łęcznej, Poniatowej jeszcze w tym roku uda się złapać w syberyjską łapkę.

Zbliżała się olimpiada w Rzymie. Na strychu rozprawiano o polskich medalowych szansach. Bokserzy ze Zbyszkim Pietrzykowskim, lekkoatleci z Sidłą i Krzyszkowiakiem, szermierze , to niemal pewniacy. Nerwowy rzut oka w stronę sztangi : trzeba też pamiętać o ciężarowcach. Na razie jednak w porządku dnia stanęła sensacyjna afera z kolarzami. Reprezentacja kraju pojechała do Francji na zawody Tour de l' Avenir. Zły los chciał, że na wyścig przyszłości wysłaliśmy kolarzy bez przyszłości. Rychło przekonali się oni czym różni się Mont Ventoux od Kubalonki i co to znaczy prawdziwy wyczyn. Stracili szanse już po pierwszych etapach, a jak przyszły góry, zaczęła się katorga. Odtąd już troszczyli się o bezpieczeństwo i zdrowie. Na zjazdach, zamiast jak inni klasycznie składać się na rowerze, hamowali. A jak mocno hamowali, to szedł od nich charakterystyczny poszum, podobny do chrzęstu , jaki wydają trzmielce. Polskie trzmielce, tak ich nazwano. Ośmieszeni przez prasę, wpadli na pomysł, żeby się przynajmniej na tym nieszczęściu wzbogacić. Od połowy wyścigu nie przypominali już kolarzy, lecz raczej grzybiarzy. Dziwnych o tyle, że zbierających prawdziwki nie w lesie, lecz na zakurzonej szosie. Zbierali bidony wyrzucane przez konkurentów. Na metę przyjeżdżali ostatni , objuczeni jak wielbłądy, z wielkimi worami na plecach. Wybuchł wielki skandal. Wśród działaczy sportowych w Warszawie podziw mieszał się z wściekłością. Trzeba przyznać, że na niesamowity pomysł, wpadły te sukinsyny .Co z tego, kiedy w biały dzień ,jak kocięta, dali się obcym wyłapać ci nasi frajerzy, niestety. Uznano, że sprawa przyniosła ujmę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ,tej ojczyźnie wszystkich Polaków ( tak ją jeszcze po latach, w stanie wojennym , nazwie wykształcony generał) . Trzmielom odebrano bidony i surowo ukarano. Prowadząc skazańców na szafot prezes sportowej konfederacji ,mocno przejęty, biadał, że tyle dobra się zmarnowało.

Na strychu bardziej roztrząsano materialny niż ideologiczny aspekt całej afery. Wicemistrz Lublina, zachęcony przez zgromadzenie, wyjął suwak logarytmiczny i ot tak, z czystej ,bezinteresownej ciekawości, wyliczył zyski płynące z ohydneho procederu. Sześciu reprezentantów, załóżmy, że tylko przez dziesięć dni, bo przecież nie spostrzegli się od razu. Dziewięćdziesięciu uczestników, podzielmy to ostrożnie na pół, skoro nie każdy z nich bidon wyrzucał, no i nie każdy bidon niestety dało się podnieść na oczach ludzi ( jak każdy naród,

mają i Francuzi swoje uprzedzenia i przesady ). Teraz cena umowna bidonu we frankach francuskich, w przeliczeniu na zielone, bo franki u nas znacznie rzadziej chodzą. Na koniec porównanie z ceną bidonu w złotówkach. To byłoby w sumie...Uzyskany wynik był porażający. Za kilka worków bidonów można było kupić motocykl krajowej produkcji, dokładnie taki, jaki Staszek Królak wygrał przed kilkoma laty za zwycięstwo w Wyścigu Pokoju. A ile musiał się namęczyć, w upale, deszczu i chłodzie, ile defektów naprawić, ile razy trzeba było z Ruskimi tłuc się pompkami na finiszu, a później przed kierownictwem tłumaczyć. Jakie porównanie z trzmielami, które przez parę dni, bez żadnej pracy, prosto z szosy zgarnęły fortunę.

Dyskusję tę, moralnie coraz bardziej niebezpieczną, nagle przeciął bokser wracający z treningu. Od progu krzyknął, że podobne łachmaniarstwo w głowie mu się nie mieści. Wstyd na całą Polskę, a najgorzej, że na świecie mamy opinię zaszarganą. Gdy za parę tygodni Pietrzykowskiemu w Rzymie zagrają Mazurek Dąbrowskiego, to zamiast go oklaskiwać, będą go palcami wytykać jako Polaka. Takich kutafonów jak trzmiel, zamiast na wyścigi, powinno się odsyłać do zielonego garnizonu albo od razu na dół, do kopalni, niechby się czegoś wreszcie nauczyli. Mocno i prawdziwie zabrzmiały te słowa w ustach mężczyzny, który widać sam przeszedł twardą szkołę życia. To pewne, że Grycz, gdyby mu było dane nałożyć koszulkę z białym orłem, nigdy nie sprzedałby narodowej duszy nawet za wagon bidonów. Słuchaliśmy jego wywodów ze skupieniem i pokorą nawet wtedy, gdy się cofnął aż na pola Grunwaldu, gdy przywołał szum skrzydeł husarii króla Jana ( przed wiekami też chrzęściło od jazdy Polaków, ale przecież zupełnie inaczej, pięknie i patriotycznie ). Zdusiliśmy słowotok boksera dopiero wtedy, gdy nam kazał skakać w nurt Elstery śladami księcia Józefa . Nie od każdego trzeba wymagać bohaterstwa. A jeśli chodzi o logarytmiczny suwak, którego widok zdaje się Grycza dodatkowo rozdrażnić, to chodziło o obliczenie szkód w skali międzynarodowej, bo wyścig był przecież zagranicą.

Marność na marnościach : sztangi, klocki, bidony, dolary, serki topione, stare gazety drukowane cyrylicą. Z mieszkańców strychu bodaj tylko pan Ludwik potrafił wznieść się ponad pospolitość życia. Szpakowaty pan o intensywnym, ale jakby nieobecnym spojrzeniu ; trzymający się jak żołnierz prosto ; schludny i zadbany, prawie zawsze w eleganckim garniturze w prążki ( podejrzewano, że prasował go nocą ). Rzadko uczestnicząc w naszych rozmowach, umościł się pan Ludwik na szczycie dachu w bocianim gnieździe. Stamtąd przez długą lunetę lustrował zamglony horyzont. Jako badacz zasłynął daleko poza granicami Małopolski pisząc dzieło o doskonałości w grze szachowej. Praca ta, potocznie zwana Księgą Najlepszych Posunięć, od kilkunastu lat zapisywana drobnym maczkiem w owym legendarnym zeszycie, już prawie była na ukończeniu, gdy okazało się, że trzeba ją jeszcze uzupełnić o nowe elementy. Zupełnie nieoczekiwanie zjawiały się one raz po raz i później. Czasem wspomagały myśl autorską, a czasem ją niweczyły. W kręgach zbliżonych do badacza rozlegały się głosy, że pan Ludwik przy całej swojej inwencji i żelaznej dyscyplinie wziął na siebie zbyt ciężkie zadanie. Od tych ludzi, skądinąd życzliwych, ale małej wiary, pochodził argument, że nie sposób wyznaczyć się w szachowym oceanie określonym liczbą kombinacji

7 534 686 312 361 225 327 x 10 do potęgi 33. Na panu Ludwiku ta kaskada cyfr nie robiła większego wrażenia. Musiał się jednak liczyć z opinią publiczną. Ze zrozumiałej ostrożności ukrywał kopernikańskie znaczenie swoich przemyśleń : to dopiero szkic, projekt, zapowiedź. Nie trzeba o tym szerzej rozmawiać, a już na pewno nie puszczać

w świat, bo ktoś to podchwyci i przejmie, za granicą zdarzają się plagiatorzy, nawet z profesorskim tytułem. Pan Ludwik potrafił jednak dać odpór demagogicznym argumentom. Po pierwsze, ów bezmiar kombinacji odnosił się do początkowej fazy partii, gdy jeszcze wszystkie bierki są na szachownicy ; potem jest już znacznie łatwiej. Po drugie, nie o konkretne warianty chodzi tylko o ontologiczną zasadę. Nad mechaniką wariantów pracuje zresztą teraz nie byle kto, bo sam Botwinnik .Konstruuje on model myślącej maszyny. Ale robi to, w odróżnieniu od pana Ludwika, z niskich pobudek. Z obawy, że ktoś wzorem Tala, mógłby mu na dłużej odebrać tytuł mistrza świata. I z pychy, że mu się uda wykazać nicomość człowieka wobec maszyny. Ma być tak : na dole robaczki- szachiści, nad nimi potężna maszyna, nad nią jej stwórca Botwinnik, a na samej górze Pan Bóg o rysach podobnych do Botwinnika. Panu Ludwikowi o coś zupełnie innego chodzi : o filozoficzne podejście do problemu. Niechże ludzie dalej grają w szachy, ale niech dowiedzą , jaki jest sens tej gry.

Skupione wokół pana Ludwika grono pierwszych apostołów nigdy nie było zbyt liczne. Jednak ci, którzy potrafili uważnie wsłuchać się w jego wywody, prawie nigdy go już nie opuszczali. Nauczyciel bezlitośnie obalał stereotypy. Faryzeusze radzili mu, żeby wobec wielkiej liczby kombinacji zaczął Księgę Najlepszych Posunięć od końcówek : tam wszystko da się łatwiej obliczyć i usystematyzować. -Od końca ? – replikował pan Ludwik – Może to właśnie najbardziej mnie gorszy. Czy gdziekolwiek zaczynamy od końca ? Toż to sprzeczność sama w sobie. Nie na próżno powiedziane jest, że na początku było Słowo. Na początku, a nie na końcu. Postępując inaczej uchybiliśmy prawom naturalnym. Trzeba od początku rzecz drażyć, zgodnie z planem Bożym.

Są na to dowody związane z debiutową fazą. Weźmy mechaniczną odpowiedź d7- d5 na pierwszy ruch białych d2-d4. Po pierwsze, musimy ustalić czy symetria jest racjonalna. Tak, jeżeli szachy są grą otwartą. Jeśli jednak zaczynający wygrywa, to wtedy symetrycznych układów lepiej unikać. Od ruchu pionem – powszechnie i bezmyślnie stosowanego – lepsze będzie wyprowadzenie skoczka na f6. A jeszcze trzeba ocenić brzemienne konsekwencje takiego przesunięcia piona o dwa pola. Kawiarnianemu grajkowi wydaje się to naturalne. On bowiem nie bierze za nic odpowiedzialności, łapami tylko macha, z podstawek się cieszy. My zaś wiemy, że grając w ten sposób mamy pola e4 i c4 pod obstrzałem ,ale tych na szóstej linii już nie kontrolujemy. To na zawsze przepadło ! Pion, który raz do przodu pójdzie, już nie ma prawa się cofnąć ! Nie ma powrotu ! Jak w życiu. Czy to do was dociera, że tym jednym ruchem bierzecie na siebie wielką ,niesamowitą po prostu odpowiedzialność ? To problem etyczny.

Ani wtedy, ani później nie należałem do uczniów pana Ludwika. Misterna, kręta jego myśl raz spotykała się z moją, a innym razem się z nią mijała. Brałem stronę badacza, gdy w imię ludzkości próbował desperacko zablokować, a przynajmniej opóźnić inwazję myślących maszyn. Buntowałem się przeciw niemu, gdy tak surowo osądzał zjawisko ruchu. Zabełtał mi, młodemu w głowie, odjął spontaniczną radość grania ,zaraził bzikiem hiperpoprawności. Nawet blitze nie zawsze pomagały zapomnieć o jeszcze nie popełnionym grzechu. Byłem jak spętany. Po wielu latach, już u schyłku zawodniczej kariery, w meczu Warszawy z Moskwą siadłem do gry z arcymistrzem Awerbachem. Coś mnie tak zakleszczyło, że nie mogłem wykonać pierwszego posunięcia. Zdziwiony wzrok partnera naglił. Niech się więc dzieje, co chce . Z zamkniętymi oczyma dźwignąłem hetmańskiego piona o dwa pola do przodu, na miejsce, do którego dosięga pięcioletnie dziecko, jeśli ma tylko wystarczająco długie ręce.

Źródło bijące pod Grand Hotelem wyszło pod koniec sierpnia. Sobowtór Kmicica już wyjechał, fryzjer zachorował, inni nie kwapili się do gry. Błąkał się tylko jeszcze pewien mieszkaniec Jasła, urzędnik na delegacji, hazardzista jakich mało. Ale ten przegrał już wszystko co było do przegrania i teraz zbierał datki na powrót do domu : z trędowatymi się nie gra. Pieniądze topniały. Któregoś dnia zaproponowałem Gryczowi obiadek w barze mlecznym koło stacji kolejowej Sopot. Dawano tam danie najtańsze w tej części Europy Wschodniej : makaron z jagodami, trzy złote pięćdziesiąt groszy za porcję. Stanęliśmy przed ladą patrząc wymownie w oczy grubej kucharki. Gra wojenna kolegi Grycza jeszcze raz się sprawdziła. Dostaliśmy prawie podwójne porcje – wielkie kopce klusek, oblane słodką, atramentową mazią opatentowaną jako owoc leśny.

To właśnie wtedy, nad ciemną jak siniec wybroczyną, bokser zwierzył mi się ze swego najskrytszego planu. Chce i musi zostać olimpijczykiem. Oczywiście jeszcze nie teraz w Rzymie, ale za cztery lata w Tokio. Założmy, jak w szachach, najtrudniejszy wariant : że znajdzie się w kategorii wagowej Pietrzykowskiego. W roku sześćdziesiątym czwartym pan Zbyszek będzie się już zbliżał do trzydziestki, wątpliwe, żeby się mu chciało jeszcze walczyć. A wtedy kto go w reprezentacji zastąpi : Czajęcki z „Cracovii” ? Któryś z braci Dampców ? Wolne żarty. Grycz nie twierdzi, że jest dzisiaj od nich lepszy. Ale przecież za rok, za dwa, gdy tylko więcej potrenuje i okrzepnie w bojach, to nawet pięciu braci mu nie podskoczy.

Zelektryzowała mnie ta wizja. Mój współlokator ze strychu, pobratymiec jagodowego losu, dzisiaj jeszcze zupełnie nieznany, jutro może znaleźć się pośród elity. Talentem i pracą na pewno na to zasługuje. Jednak na drodze do olimpijskiego celu piętrzyły się przeszkody. Czuję się w obowiązku uświadomić o nich kolegę Grycza. Po pierwsze, trzeba będzie zdobyć zaufanie papy Stamma. Przy wszystkich swoich zaletach trener przywiązany on jest do nazwisk starych mistrzów ; nowych nie zawsze akceptuje. Dalej sprawa przygotowania do egzotycznej wyprawy. U nas jest tak, że zmianę czasu uwzględnia się tylko w teorii. Ucierpieli na tym olimpijczycy w Melbourne, nie wspominając o tych przedwojennych z Los Angeles. No i pułapka azjatyckiej kuchni : różne dziwności wyzwalające u Europejczyka amebę i różne inne frace. Kolega Grycz może być na nie szczególnie narażony, skoro przywykł – tylko proszę mnie dobrze zrozumieć – do naszego, polskiego jedzenia. Wiele takich znaków zapytania.

Bokser tonował mnie dobrotliwie. Owszem, w przyszłości to będą rzeczy ważne. Ale teraz trzeba się skupić na dniu dzisiejszym. Najpierw pokazać się w ligowym debiucie, potem przejść jak czołg po krajowych ringach. Wtedy człowieka zobaczą i docenią. Jeśli nawet Grycz trzymał głowę w tokijskich chmurach, to na szczęście nie odrywał nóg od matki ziemi. W czasie powrotnej drogi do domu chyba nawet pożałował , że mi powiedział o słowo za dużo. Poprosił, żeby sprawę Tokio trzymać w dyskrekcji. Mieszkańcy strychu, poza tym starszym panem, który pisze książkę, zajmują się małymi, doprawdy bardzo małymi sprawami. Nie mają większych pragnień , więc trudno byłoby im zrozumieć jego ,boksera ambicje. Może zaczęliby się z niego wyśmiewać. Wiadomo, zazdrość, straszna polska choroba.

A jak poszedł Grycz na wojnę, grały jemu surmy zbrojne. W ostatnim tygodniu przed wyjazdem trenował szczególnie wytrwale. Wracał do domu późno, strasznie utrudzony, ale z poczuciem odrobionej jak trzeba roboty. Jego sylwetka wyszczupiała bez ujmy dla imponującej muskulatury. To zawsze dobry znak dla pięściarza utrzymującego limit wagowy. Widać też było, że w zdrowym ciele wzmacnia się psychika. Bokser mówił mniej niż zwykle, unikał buńczucznych przechwałek. Nie musiał się przechwalać; wiedzieliśmy, że jest mocny, naprawdę mocny. Wyjeżdżał do Warszawy w przeddzień meczu, sobotnim rannym pociągiem, po to żeby jeszcze przed walką odpocząć. Powiedziałem, że go odprowadzę na dworzec. Odmówił, co zrozumiałe. Też nie lubię, gdy mnie odprowadzają. Gdy wyjeżdżasz samemu w nieznaną, najlepiej od razu odciąć się od pepowiny. Lżej jest wtedy.

W niedzielę wieczorem radio podało wynik meczu „Gedanii” z „Legią”, ale bez rezultatów poszczególnych walk. W poniedziałek zerwałem się rano, żeby kupić „Przegląd Sportowy”. Do najbliższego kiosku było półtora kilometra. Otwarłem gazetę. Dużo o przygotowaniach do olimpiady, opis ligowego bokerskiego meczu gdzieś na dalszej stronie. Wiadomość na którą czekałem była raptem dwuzdaniowa i nieprawdopodobna. Wbiła mnie w ziemię, akurat gdy przechodziłem przez jezdnię. Jeden z nielicznych w Sopocie samochodów przejechał tuż obok z piskiem hamulców, szofer opuścił szybę, żeby wylać dzikie bluzgi.

Owe dwa złowrogie zdania tak brzmiały: „W wadze średniej rutynowany Dampc II nie dał szans debutantowi Gryczowi wysyłając go do krainy marzeń już po czterdziestu sekundach walki. Ten ciężki, a zupełnie niepotrzebny nokaut powinien skłonić władze Polskiego Związku Bokerskiego do staranniejszej kontroli zawodniczych licencji”.

Wracalem do domu na słomianych nogach. Nie bacząc na wczesną porę zbudziłem szachistów. Rozbudzali się powoli, hiobowa wieść nie od razu do nich dotarła. Podawali sobie gazetę z rąk do rąk, czytali fatalne dwa zdania po kilkakroć. -Może Grycz w porę nie spojrział tamtemu w oczy? – powiedział ktoś, zaraz jednak zamilkł speszony niestosownym żartem. Nikomu nie było do śmiechu. Ciszej nad tą trumną. Osobliwa to rzecz: dopóki Grycz kręcił się między nami, traktowaliśmy go jak nieszkodliwego, na swój sposób sympatycznego intruza. Zdarzało się, że czasem nas irytował jako ideolog kulturystycznego obozu koncentracyjnego. Teraz jednak, znokautowany i pogiębiony gdzieś na obcym ringu, stał się nam znacznie bliższy. Poczuliśmy solidarność z kolegą Gryczem. Po walce, której właściwie nie było, młodszy z braci Dampców pewno poszedł na piwo z kolegami, naśmiewając się z pokonanego rywala - żółtodzioba. Nie mógł wiedzieć, ile zła wyrządził szachistom na strychu w Jelitkowie.

Trzy dni później mistrz Marian omiatając strych niechcący poruszył legowisko boksera. Wychynęła stamtąd połówka herbaty „Ulung”, schowana na czarną godzinę i tracący właśnie ważność bilet miesięczny. Zza siennika wytoczył się Joe Walcott na okładce miesięcznika „Boks”, a zaraz za nim amerykańska pin-up girl, wydartą z jakiegoś jugosłowiańskiego pisma. Przez delikatność kolega Grycz nigdy nie afiszował się z podobizną efektownej blondynki. Wyczuwał widocznie różnicę między koszarami dusznymi od erotyki, a naszym światem bez kobiet (jeśli nie liczyć szachistek, ale i to przecież nie kobiety, lecz właśnie szachistki). Zmięty bilet poszedł od razu do kosza. Pozostałe rzeczy, zbite w małą kupkę powędrowały chwilowo na okienną framugę. Już nazajutrz zaczął je toczyć liszaj destrukcji. Wyrudziła listki herbaty do południa złościły się w słońcu, później wychodziło z nich całe szkaradzieństwo. Walcott zamarł w wykroku z wysoko podniesionymi rękoma. Zupełnie nie

wiedział czy iść za ciosem czy poczekać na powrót menadżera. Bujne ciało blondynki rzucone w kąt wygięło się nienaturalnie, pomarszczyło, zbiedniało. Zdarza się, że kobiety starzeją się dosłownie z dnia na dzień: to był właśnie taki przypadek. Ulung, Walcott, blond girl. Niedokończony, opuszczony przez malarza kawałek martwej natury. Minęła kolejna doba. Dotarło do mnie, że nigdy już kolegi Grycza nie zobaczę. I nie wiadomo dlaczego, przestraszyłem się.

Rozjeżdżaliśmy się kolejno, bez pośpiechu i jakby w roztargnieniu. Wydawało się pewne, że za rok znowu spotkamy się na strychu. A przecież to się już nie zdarzyło. Mistrz Marian ze stratą sprzedał dom i przeniósł się na drugi kraniec Polski. Założył rodzinę, do gry wyczynowej już nie wrócił. Dzieło życia pana Ludwika nie ukazało się, przynajmniej jak dotąd. Piękny Es w październiku pojechał na wielki turniej do jednego z demoludów. Tam czekała go lekcja anatomii, mroczna jak na obrazie Rembrandta. Na początek dwóch radzieckich arcymistrzów rozkroiło mu klatkę piersiową, szybko i wprawnie, według wszystkich reguł chirurgicznej sztuki. Zaraz potem, na krew buchającą z piersi rycerza rzuciło się stado głodnych czeskich i węgierskich wilków; bezlitosne hieny z ernerdowa dokonały reszty. Po mężnym, polskim wojowniku zostały tylko kosteczki; dwa punkty z siedemnastu partii to była katastrofa. Za jakiś czas sam przeżyłem coś podobnego. Po obiecującym debiucie w finale mistrzostw Warszawy, w następnym turnieju poszedłem do przodu bez żadnego przygotowania i dostałem kilka silnych ciosów na korpus. Trafiony w splot słoneczny, runąłem na deski. Zerwałem się natychmiast, gotów do wznowienia walki (wierny uczeń kolegi Grycza -ja wam jeszcze pokażę!). Gdy mnie ocucono po nokaucie, okazało się jednak, że to nie sekundy minęły, lecz całe lata.

Zbigniew Pietrzykowski nie wywalczył złotego medalu na rzymskiej olimpiadzie.

W finale trzymał się dobrze tylko przez krótki czas. Przeciwnik, młodziutki Murzyn ze Stanów Zjednoczonych od drugiej rundy zaczął go cisnąć i obijać niemiłosiernie. To prawda, że zasłużenie sięgnął po tytuł, ale z naszą wielką narodową stratą. Rozczarowanie było tak powszechne, że mało kto silił się zapamiętać nazwisko pana Zbyszkowego pogromcy: nazywał się Cassius Clay czy jakoś tak. Pod przedłużającą się nieobecność kolegi Grycza to właśnie pan Zbyszek reprezentował nasz kraj na następnej olimpiadzie w Tokio. Posunął się jednak o cztery lata, stracił wiele z kondycji i szybkości, w półfinale przegrał z nieznanym Rosjaninem. Nie było już na wielki ring powrotu.

Tamto lato minęło, a za nim z nieprawdopodobną szybkością posypały się następne. Pora roku zmieniała się na stałe. Między październikiem i listopadem barwy płowieją, krew płynie wolniej. Owszem, gdyby zagrał Namysłowski – a on wciąż występuje pod imieniem Zbyszek – zatańczyłbym jeszcze. Ale jazzmani, jak pierwsi chrześcijanie, znowu zeszli do katakumb; na powierzchni szaleje rap i hip-hop. Dawno wyburzono już kino przy Puławskiej, w którym kiedyś z takim przejęciem łowiłem szept i krzyki. Uroda i młodość trzydziestoletnich kobiet zasługiwałyby na coś więcej niż na moje nieuważne spojrzenie. W szachy grywam bardzo rzadko. A jeżeli już, to liczę warianty niedbale i bez dawnej emocji. Może dlatego, że obawiam się teraz czegoś innego niż wtargnięcia nieprzyjacielskich wież na drugą linię.

Tamto lato minęło, ale przecież czasem powraca. Niedawno przywiało mnie do Ciechocinka, dziwnego miejsca, w którym zdrowi ludzie szukają pożywki dla hipochondrii. Przedwieczorną porą ,po deptaku, przewalał się tłum kuracjuszy. Na odgłos gongu, jak na komendę, zmienili kierunek marszu, karnie podążając do stołówki. Nie wiązał mnie ten obowiązek. Przysiadłem na ławce. W oddali majaczyły kontury tężni. Całkiem blisko, tuż pod łokciem wychynał mi skądś znajomy skrawek garnituru w prążki. Tak bardzo znajomy, że rozpoznałem sąsiada, zanim jeszcze na niego spojrzałem. Nieskazitelna, a zupełnie nie pasująca do okoliczności elegancja. Szlachetna zaduma , splendid isolation. Pan Ludwik, mimo dobrze przekroczonej osiemdziesiątki, zewnątrznie niewiele się zmienił. Ale nie wiadomo, co tam w środku. Gdy przedstawiłem się, chyba tylko udał, że mnie rozpoznaje. Jednak na hasło „strych u Mariana” zareagował nadspodziewanie żywo. Odkurzyłem więc postać kolegi Grycza. I jego również , pan Ludwik wcale dobrze pamiętał. - Sympatyczny był z niego młodzieniec, chociaż taki ubogi. A że w ringu nic nie zwojował, to nie jego, ale wasza wina. On powtarzał przecież, że najważniejsza jest głowa. A wyście mu właśnie przed meczem zepsuli głowę tymi swoimi szachami.

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę w milczeniu. Nie było o czym gadać. Pytanie o Księżę Najlepszych Posunięć wisiało w powietrzu, ale w końcu nie spadło na pana Ludwika i nie zdążyło go zranić. Ściemniało się, park zdrojowy zupełnie opustoszał. Nisko nad naszymi głowami dogasało skośnookie, czarnobrewne słońeczko z posiwiałym z melancholii wąsem.